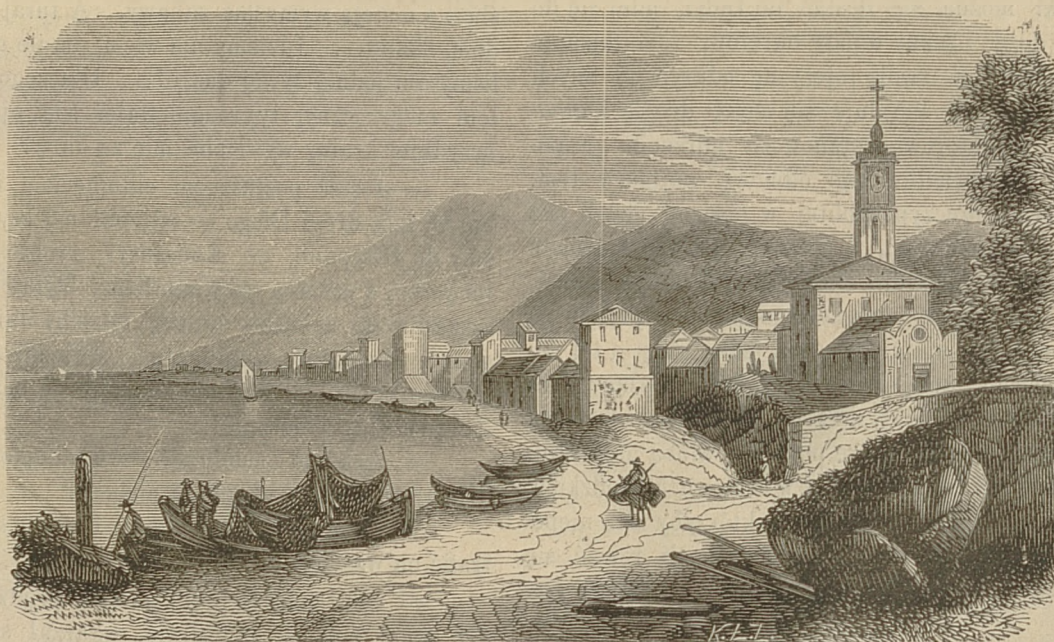




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



Cogoleto pod Genuą, domniemane miejsce urodzenia Kolumba (w r. 1446).

DO ZIEMI NIEZNANEJ

przed czterysta laty.

(Dalszy ciąg).

Portugalia, kraj niewielki, niebogaty, przez swoje odkrycia wzniosł się do wysokiego stopnia potęgi. Jan I-szy, król pierwszy z dynastyi Avis, rozbudził zamiłowanie do podróży morskich. Dla powstrzymania napadów Maurów, przedsięwziął wyprawę do Afryki i wylądował w okolicach Ceuty. W r. 1418 mały statek portugalski płynący do Ceuty, od brze-

gów afrykańskich, przez burzę napędzony na pełne morze zawinął do nieznanej wysepki, którą uratowani od zguby żeglarze nazwali: Porta Santo *). Później Portugalczycy odkryli wyspę Maderę, gdzie dla żyzności gruntu założyli osadę. Odkrycie wysp Azorskich i przylądka Zielonego, także świat zawdzięcza Portugalczykom.

Z różnych też krańców Europy, do Lizbony ściągali uczeni geografowie i astronomowie, sternicy i marynarze, ubodzy szukający zarobku i awanturnicy żądni bogactw, oraz niezwykłych przygód.

*) Port święty.

W Lizbonie Krzysztof Kolumb zastał wielu rodaków, pomiędzy nimi brata swego Bartolomea. Zamieszkali razem, lecz Krzysztof pracował samodzielnie. Posiadając dwa, na owe czasy rzadkie, a bardzo cenne uzdolnienia: rysunek, oraz piękne i wyraźne pismo, kopiował manuskrypta i rysował mapy. Tym sposobem zarabiał sporo, a jako syn wdzięczny i przywiązany, część zapracowanych pieniędzy, przysyłał do Genui swemu staremu i zupełnie już zubożałemu ojcu. Około r. 1478, w życiu Krzysztofa Kolumba samotnem, zajętem pracą i myślą o odkryciu krain nieznanych, szczęśliwa przytrafia się okoliczność: poznaje piękną Filipinę Monis de Pelestorello i żeni się z nią. Dona Felipa pochodziła z dostojnego rodu: jej ojciec, szlachcic włoski, służył w marynarce portugalskiej, za króla Henryka Żeglarza, którego był ulubieńcem i gubernatorem wysepki Porto Santo.

Trzem swoim córkom Bartłomiej Monis de Perestrello żadnego nie zostawił majątku, tylko bardzo świetne koligacje i stosunki, które mężowi Filipiny od razu wyjednały wstęp do arystokratycznych domów, a nawet na dwór króla Alfonsa V, następcy Henryka Żeglarza. Po ślubie Krzysztof Kolumb mieszkał częścią w Lizbonie, częścią na Porto Santo, gdzie Bóg obdarzył go synem i gdzie Piotr Correa, szwagier dony Filipiny był gubernatorem. Z Porto Santo Kolumb dopłynął do San Jorge de Mina, osady portugalskiej, na wybrzeżu Gwinei, zwiedził Maderę, wyspy Kanaryjskie i Azorskie. Następnie, coraz bardziej utwierdzony w mniemaniu, że przez Ocean Atlantyczny można się dostać do Indyi, udał się do Genui i upraszał dożę i senat o parę okrętów, zobowiązując się w zamian wzbogacić swoją ojczyznę odkryciem onych krain wspaniałych, kędy znajduje się złoto, drogie kamienie i wonności. Senatorowie stanowczo odrzucili propozycje Kolumba, usprawiedliwiając odmowę najpierw tem, że skarb prześwietnej rzeczypospolitej w obecnej chwili jest wyczerpany na cele uzbrojeń, a powtórnie, że przed dwustu laty dwaj młodzieńcy: Vivaldi i Doria, z tym samym zamiarem i w tym samym celu z genueńskiego portu wypłynęli na Ocean i — przepadli bez wieści... Ani jeden okręt z tej floty Vivaldich i Doriów, ani jeden z marynarzy należących do tej wyprawy nie powrócił, nikt, nikt... Opis tego zdarzenia zakończono nieszczęściem, które pokryło żałobą najdostojniejsze genueńskie rody, zapisane jest w archiwach grodzkich, dla wiekistej nauki takich śmiałków, którzyby dla niepewnych, urojonych korzyści nierozważnie chcieli rzucić się w otchłań niebezpieczeństw, poświęcać i życie ludzkie i pieniądze...

W Wenecyi podobnież spotkała Kolumba odmowa i sztyderstwo. Jedyną pociechę jakiej w rodzinnem swem mieście doznał było to, że zobaczył ojca.

— Nie zrażaj się trudnościami, mój synu — zachęcał starzec, kładąc krzyżyk błogosławieństwa na czoło klęczącego u jego kolan Krzysztofa — nie zrażaj się przeciwnościami, ludzie odwracają się od ciebie, ty ufaj Opatrzności, a do zamierzonego celu dąż wytrwale!

On też nie przestawał dążyć...

Kiedy Kolumb wrócił do Portugalii, Alfons V już nie żył. Następca jego Jan II, odziedziczył upodobania swojego dziada Henryka. Za jego panowania żeglarstwo portugalskie zaczyna znów się ożywiać. Bartłomiej Diaz, po szesnastomiesięcznej żegludze dosięga południowego cypla Afryki i daje mu nazwę „Przylądka Burz”. Jan II tej odkrytej ziemi

każe dać miano Przylądka Dobrej Nadziei, tak dalece jest pewnym, że ten właśnie nowy szlak morski jest drogą do Indyi, do uroczej wyspy Cipango, do państwa Wielkiego chana. Marynarze, uczeni doktorowie, badacze przyrody gromadzą się znów na dworze młodego króla, który ich wszystkich przyjmuje łaskawie, przecież szczególniejszemi względami obdarza Kolumba. Rozmawia z nim często i długo i poufale; rozważa jego projekta. Wyobrażnia króla zapala się do świetnych obietnic genueńczyka; wreszcie Jan II zgadza się dać ludzi, okręty, żywność na rok cały, słowem: chce ponieść wszelkie koszta wyprawy. Po długich latach oczekiwania daremnych, po długich latach zawodów, myśl Kolumba już, już zdaje się bliską urzeczywistnienia, lecz nagroda jakiej dla siebie zażądał, wydała się królowi zbyt wygórowaną, rozgniewany, zerwał z genueńczykiem układy. Wówczas i przyjaciele opuścili cudzoziemca, który u króla popadł w niełaskę, a gdy na domiar nieszczęścia, dotknął go cios najboleśniejszy: śmierć ukochanej żony, zabrał jedyne go syna i opuścił Portugaliją. Było to w r. 1484.

Pochmurną nocną porą, przez skaliste morskie wybrzeże szedł ubogo ubrany mężczyzna. W jednej ręce niósł niewielkie zawiniątko z odzieżą, drugą prowadził kilkoletniego chłopczykę.

— Opowiadałeś mi ojczulku — mówiło chłopię — że w Andaluzyi są duże i bogate miasta, ładne wioski, drogi proste i szerokie, ludzie dobrzy i gościnni, a dzieci grzeczne, śliczne umieją wymyślać zabawy. A tutaj tak pusto, szkaradnie, zimno... Idziemy nie wiem już ile godzin i nie spotkałimy ani jednej żywej duszy!... Dlaczego?... Może ja byłem niegrzeczny, ty rozgniewałeś się ojczulku i do jakiej brzydkiej krainy wywiozłeś mnie za karę?

— Jesteś posłusznem chłopięciem i nie potrzebuję cię karać, mój drogi Diego — odrzekł mężczyzna — przyjechaliśmy do Hiszpanii, do Andaluzyi; rychło zobaczysz tutaj to wszystko, o czem ci opowiadałem. Tylko widzisz, niema tak szczęśliwego zakątka świata, gdzieby dni zawsze były pogodne, słoneczne, ciepłe, a noce gwiazdziste i ciepłe; niema takiego kraju, gdzieby nie znalazły się bezludne pustkowia... Zbłądziliśmy widocznie!

— Ach! to niedobrze! — westchnęło dziecko — więc będziemy nocowali pod gołym niebem?

— Mam nadzieję, że nie. Powinniśmy lada chwila natrafić na wioskę, lub przynajmniej chatę.

— Och! żeby to prędzej! żeby prędzej!... Nóżki bardzo mnie bolą — płaczliwie uskarżał się Diego — morze luczy tak przeraźliwie, jakby nas pochłonać chciało... boję się!...

-- Nie bój się nic, drogi Diego! chłopczyk powinien być odważny, mężny, wytrwały na ból i utrudzenie! Nie bój się! Bóg czuwa nad zbłąkanymi wędrowcami. Mów za mną głośno paciorki. *Ave Maria*!...

— *Ave Maria*!... — powtórzyło chłopię. Przy tych słowach głos Diega ucichł w westchnieniu. Zachwiał się chłopczyk, upadł na ziemię... zemdlął.

— Miłosierny Jezu, zmiłuj się! — krzyknął ojciec podnosząc chłopczykę. Przerzucił zawiniątko przez plecy, ujął Diega w ramiona, i tuląc go do swej piersi przyśpieszonym krokiem szedł naprzód... Szumiał wiatr, złowrogo szumiały morskie fale rozbijając się o skaliste brzegi, ostre kamienie raniły nogi pielgrzyma, on szedł ciągle, biegł prawie, siłą

i energii dodawała mu trwoga o życie jednaka. Nagle rózek księżycy na nowiu wychylił się z poza chmur i przy tym mdłym blasku znużony wędrowiec ujrzał światło, które opodał w górze migotało pośród gęstwiny wyniosłych drzew. Ku temu światłu skierował swe kroki i niebawem stanął przed bramą w murze, otaczającym ogromny klasztor, o wysmukłych wieżach i basztach. Jedno basztowe okno było oświetlone, lecz gdy przybysz gwałtownie pociągnął za sznur u bramy wiszący, i za murem ozwał się dźwięk dzwonu, który po dziedzińcach i krużgankach wnet rozniosły echa, i w innych oknach klasztoru zapłonęły światła. Dały się słyszeć przyspieszone stąpania, zapalono pochodnię, odsunęto rygle u furty i kilku zakonników poprowadziło zapóźnionych wędrowców do refektarza, gdzie wnet chłopczyk ocucony został z omdlenia. W XV wieku nie było w Hiszpanii oberży, hoteli, zajazdów, w których za naszych czasów ludzie podróżujący znajdują wygody odpowiednie do swego majątku. Gdy bogaty rycerz lub hidalgo, podróżował w owej epoce, to nigdy sam; towarzyszył mu liczny poczet giermków, ciurów i sług wszelakich, którzy wiedli konie i muły obciążone żywnością i rozmaitościami, jakie w drodze dalekiej mogły być panu potrzebne. Gdziekolwiek noc zaskoczyła taką karawanę, bądź na otwartym polu, bądź w lesie, tam obozowano. Służba rozsiadła konie, rozpalala ogniska, warzyła wieczerzę; nie rzadko uczta przeciągała się do świtu, zwłaszcza gdy przyplatał się jaki muzykant wędrowny, który za misę jedzenia i czarę wina przygrywał na gitarze, i śpiewał zaimprovizowane piosenki. Ubodzy podróżni zaś po klasztorach szukali przytułku i schronienia, którego nie odmawiano im nigdy; owszem karmiono ich tam, ugaszczano suto, chorych i zdrożonych bardzo, dla wypoczynku zatrzymywano na czas dłuższy.

(d. c. n.)

ZNIWIARZE.

Troskliwy oracz w jesiennej porze
Zasiewał ziarno na roli;
A kiedy wiosną zabłyśły zorze,
Wzrastała trawka powoli.

Pieściła oko niwa zielona,
Ścieląc swe miękkie kobierce,
Perłami rosy rannej omglona,
Cieszyła duszę i serce.

Cieszył się oracz w modlitwie cichej
Słodką nadzieją bogaty,
Aż się rozwily w jasne kielichy
Złociste kłosa i kwiaty.

Słońce od wschodu świeciło w dali,
W pogodnym niebios błękie,
Siejąc promieniami po modrej fali
Pieściło kłosa w rozkwicie.

A wietrzyk dmuchał w cichej swawoli,
Jak dziecię w błogiej swobodzie,
Chyląc ku ziemi kłosa na roli,
I — pieszcząc kwiaty w ogrodzie.

Gięły się kłosa z wiatru powiewem,
Kwiaty wznosiły kielichy.
I — oracz z pola wracał ze śpiewem,
I wieczór nadchodził cichy.

Minęło lato i przyszli żeńce,
Blyszczące sierpy ujęli,
I w jasny dzionek rażni młodzieńce
Złotą pszenicę ujęli.

Legło pod sierpem żyto srebrzyste,
Wesołą pieśnią zabrzmiąło pole,
I wśród żniwiarzy wieńce kwieciste
W ojcowską chatę niosło pachole.

Tam na podwórku skrzypek przygrywa;
Już zastawione wieczerzą stoły —

I już zasiadła para sędziwa —

Z miłą swą matką oracz wesoły

Wdzięcznym uśmiechem swych gości wita:

Aż przed nim staje hoże pachole,

Wieniec pszenicy i wieniec żyta,

Ubrane w kwiaty składa na stole.

„Przyjmcie dar Boży — rzeczce — w tej chwili

Pobłogosławcie wdzięcznej rodzinie,

Wyście swą pracą nas wykarmili...” —

Zamilkł — i łezka z oczu popłynie,

I wieniec złoty z kraśnemi kwiatki

Wkłada z miłością na czoło matki,

A skroń ojcowską w również kwiecisty

Ozdobił żyta wieniec srebrzysty.

Potem usiedli wszyscy za stołem,

I dary Boże wdzięcznie spożyli;

Radzi, szczęśliwi, że znowu społem

Dał Bóg doczekać tej błogiej chwili.

Wesoło mija wieczór pogodny,

Cieszą się szczerze wdzięczni wieśniacy,

Bo miły sercu ten byt swobodny —

Błogi spoczynek po pracy...

Również się cieszą zacni młodzieńce,

Gdy zbiorą nauki żniwo,

I — kwiatem zdobiąc wdzięczności wieńce

Zwieńczę skroń mistrza sędziwą.

K. P.

List z Warszawy.

Kochane moje, ze wsi, gdzie wakacje spędzałam, miałyście stale odemnie odpowiedzi na serdeczne zawsze wasze liściki, wiecie więc, że nie oddalałam się nigdzie. Teraz dopiero w ostatnich tygodniach pobytu na wsi, powstał projekt, że pojedziemy na wystawę ogrodniczą do Łodzi, a ponieważ wiecie, jak niezmiernie lubię kwiaty, nic więc sprawić mi nie mogło większej przyjemności. Ciekawa byłam przytem zobaczyć Łódź, ogromne i ludne miasto, gdzie jest ulica mająca siedm wiorst długości, gdzie wznoszą się pyszne pałace i olbrzymie fabryki, gdzie ludzie milionowych fortun czynią wszystko, co przy wielkich środkach uczynić mogą, aby siedziby swoje i całe ich otoczenie upiększyć, ozdobić i wystroić.

Widok Łodzi nie zawiódł moich oczekiwań, a widok samej wystawy przeszedł je nad wszelkie spodziewanie. Miejscowość dla niej obrana, urządzenie, udział firm warszawskich, wszystko przyłożyło się do uczynienia wystawy tak świetną, że zadowolnić mogła najwybredniejszych, a już po prostu zachwycić każdego, dla kogo sam już widok kwiatów stanowi rozkosz prawdziwą.

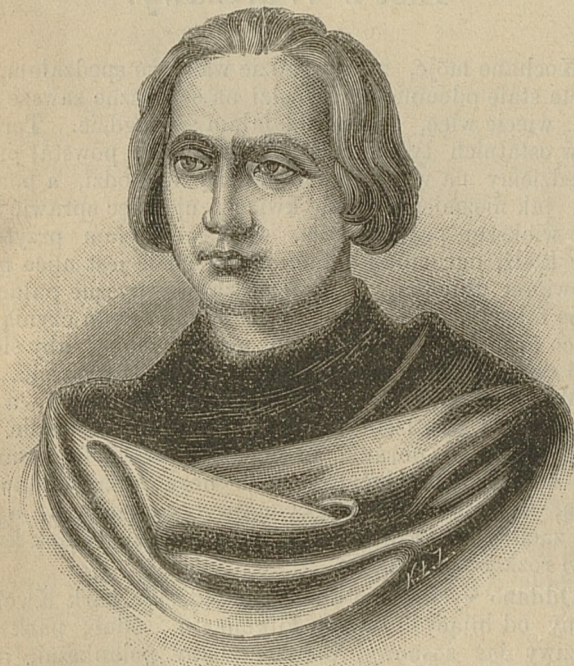
Oddano wystawcom do rozporządzenia park Kwelli, tak nazwany od bijących w nim kilkunastu źródeł; park ten, to prawdziwy las sosnowy, poprzerzynany polankami, na których wznosiły się teraz budynki wystawy, otoczone kwietnikami, z których niektóre były prześliczne, tyle w nich fantazyi, taki rysunek i dobór barw, albo odbijających artystycznym kontrastem, albo cieniowanych w delikatne półtony, które zlewając się z sobą tworzyły przedziwnie harmonijną całość. Blisko wejścia stała cieplarnia, pełna przeróżnych osobliwości,

dalej pawilon redakcyi „Ogrodnika Polskiego” mieszczący kolekcję nasion, narzędzia i książki ogrodnicze, wydane nakładem Redakcyi, ale na to wszystko rzucam tylko okiem i śpieszę tam, gdzie oko niećli i powonieniu rozkosz czyniły ozdoby kwiatowe. Ach! jakież to precudne cacka! siebie i pokój swój ustroić w nie można było, bo była tam biżuteria kwiatowa, poduszki z kwiatów i ramy do luster, nie mówiąc już o przeróżnego kształtu i objętości bukietach, wieńcach, wachlarzach, ekranach, i t. p. słiznościach.

Pani Anna Scheiblerowa, właścicielka ogromnych zakładów fabrycznych, zajmuje swemi okazami znaczną część wystawy. Miała bowiem swój własny pawilon, złożony z trzech szklarni o szklanych dachach, mający kształt namiotu a pełen najrzadszych okazów, pielęgnowanych z niezmierną starannością. Jakże tam były palmy, jakie pandanuesy! zupełnie jak w dziewiczym lesie! Patrzyłam, podziwiałam, zachwycałam się, ale śpieszyłam do osobliwości nad osobliwościami, do wieży z kwiatów wśród sześciu wielkich sosen, rosnących obok siebie na obszernym placu. Pomiędzy niemi postawiono maszt wysoki na 18 metrów, około niego zaś wiją się aż do wierchołka kręcone schody, przerznięte pięcioma platformami, z których roztacza się urozmaicony widok na park i na miasto całe. Macie ją na rycinie naszej, która da wam wyobrażenie o całości, ale czego wyobrazić sobie trudno, to tej woni upajającej a zdrowej, która biła z tych kwiatów, roślin, owoców, razem nagromadzonych na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, tego zadowolenia, którego doznaje oko na widok takiej gry barw, takiej rozmaitości linii i kształtów.

A równie jak w dzień, tak i w nocy zachwycić może wystawa. Wieczorem rozlewało się po całym parku światło piętnastu lamp elektrycznych, oprócz nich zaś czarodziejski sprawiało widok mnóstwo lampek żarowych i kolorowych latarni chińskich. Dźwięki dwóch orkiestr uprzyjemniały przechadzkę po parku, jeżeli w ogóle powiedzieć się godzi, że ta uprzyjemnienia potrzebowała. Dodam wreszcie, że niemalą stanowiły przynęte owoce i przetwory z owoców, wyglądające tak smakowicie, żeby się każdego gatunku skosztowało bardzo chętnie, a była ich moc niezliczona.

Ogółem biorąc, wystawa sprawiała niezmiernie miłe



KRZYSZTOF KOLUMB. *)

*) Ponieważ w numerze poprzednim dany był przez omyłkę niewłaściwy portret Kolumba obecnie podajemy inny.

oczom wrażenie, to też serdecznie wdzięczną byłam mamie za tę rozrywkę, po której wróciwszy do Warszawy, znowu stałam gotowa do siostrzanych dla was przysług.

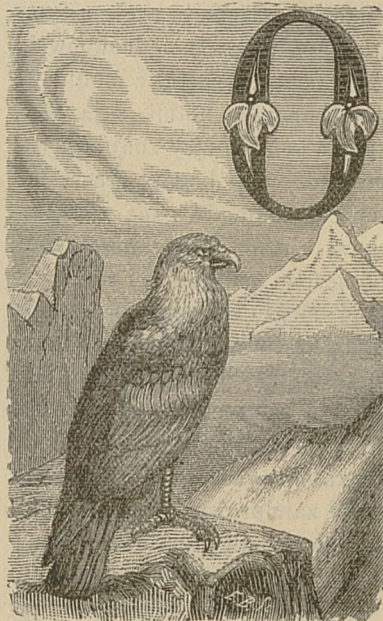
Szczerze was kochająca.

Gołąbka.

SZTUKA CZY RZEMIOSŁO

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).



przepraszam bardzo — przerwał gospodarz — czyż to u nas niema kościołów? Trzeba chyba być ślepym aby nie podziwiać katedry w Strasburgu albo w Kolonii. Zdaje mi się, że chcąc zobaczyć piękny kościół, można go i u nas znaleźć i niepotrzeba szukać go aż we Włoszech.

— Nie miałem bynajmniej zamiaru ubliżać piękności naszych kościołów — z uśmiechem odparł młodzieniec — powtarzam jednak, że Włochy posiadają mnóstwo przepysznych świątyń tem więcej godnych widzenia, iż zawierają w sobie wiele cennych dzieł sztuki.

— Czy widziałeś tam dzieła boskiego Raphaela Sanzio albo Michała Anioła, który jest niedoścignionym malarzem, rzeźbiarzem, poetą i budowniczym albo też Antonia Alegri zwanego Corregiem?

— Nie jest — że to głupota — mruknął gospodarz — nosić nazwisko Alegri a nazywać się Coreggio?

— Nic w tem dziwnego, panie Tomaszu — z uśmiechem objaśnił Cranach — wszak i ja także nazywam się właściwie Sunder a przybrałem nazwisko Cranach od nazwy miasta, w którym się urodziłem. Taki to już zwyczaj panuje wpośród malarzy.

— Nedorzeczny zwyczaj! — mrucał gospodarz, ale młody podróżny nie dał mu dokończyć i odpowiadając na pytanie Cranach'a, mówił dalej:

— O tak, panie, widziałem te wszystkie arcydzieła! Długo, długo stałem przed niemi, przejęty zachwytem i uwielbieniem, doznając takiego wrażenia, jak gdyby ten widok czynił mnie lepszym i szlachetniejszym, niżeli byłem nim dotąd.

— Czy pan sam jesteś malarzem? — zapytał Krempel, nie mogąc zrozumieć przyczyn takiego zachwyty.

— Nie — z prostotą odparł młodzieniec — jestem tylko wielkim miłośnikiem sztuki. Za moich lat dziecięcych marzyłem o tem aby poświęcić się malarstwu, ale nieboszczyk mój ojciec, krawiec tutejszy, ani chciał słuchać o tem.

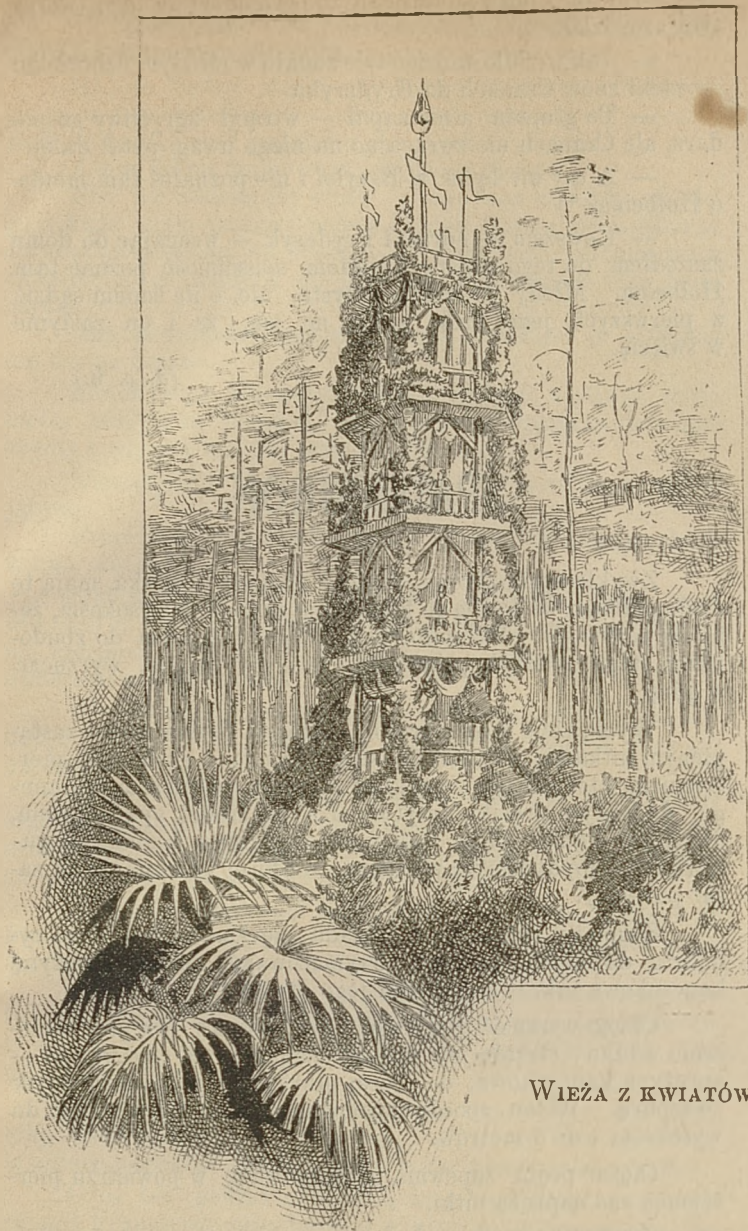
Tomasz Hubermann położył nóż i uważnie wpatrywał się w mówiącego; jakies dawne wspomnienia zdawały się przychodzić mu na myśl.

— Czyż pan był?... czyżbyś pan był? — zapytał z pewnem wahaniem.

— Tak — przerwał młodzieniec — jestem Fryderyk Klein, syn pańskiego starego przyjaciela.

— Więc pan jesteś tym młodzieńcem, który po śmierci rodziców skorzystał ze swobody aby...

— Aby wyruszyć w świat, chcąc poznać innych ludzi i zobaczyć inne kraje — dokończył Klein.



WIEŻA Z KWIATÓW.

— I zmarnotrawić grosz krwawą pracą ojca zebrany — gniewnie mruknął gospodarz.

Tymczasem Krempel serdecznie uściskał dłoń młodzieńca.

— Witam cię, przyjacielu — mówił ze wzruszeniem — pewnie teraz pozostaniesz już z nami w starym Erfurcie.

— To zgadł! — półgłosem rzekł gospodarz — takie pędziwiatry nigdzie miejsca nie zagrzeją!

Cranach roześmiał się, Fryderyk zaś odrzekł spokojnie.

— Mylicie się, panie gospodarzu, wróciłem do mego rodzinnego miasta z zamiarem osiedlenia się tutaj. Jeszcze za życia rodziców zaczęłem uczyć się złotnictwa, a będąc we Włoszech wydoskonalilem się w tem rzemiośle.

— Dlaczegoż nie zostaliście malarzem, mogąc wybrać zawód według własnego upodobania? — Zapytał młody wędrowiec, który dotąd z wielką uwagą przysłuchiwał się rozmowie.

— Dlatego, że już było zapóźno — odrzekł Klein. — Kto chce być sławnym malarzem, musi wcześniej zabrać się do pracy.

— Prawda! prawda! — zawołał Cranach — mamy tego dowód na Rafaelu i na Correggiu.

— Tak jest! — z westchnieniem potwierdził Klein i zwracając się do młodego wędrowca mówił dalej. — Gdybyście takjak ja byli w pracowniach tych sztukmistrzów, gdy-

byście widzieli arcydzieła przez nich stworzone, nie dziwilibyście się dlaczego zostałem złotnikiem.

— Oto! — zawołał nieznajomy — czy wam się zdaje może, że ja nigdy nie widziałem dzieł sztuki? Ojczyzną moją jest Norymberga, siedziba Piotra Vischera *) i Alberta Dürer'a będącego chlubą naszych malarzy. Bywałem nieraz w ich pracowniach,

— Kimże jesteście i czym się trudnicie? — zapytał Cranach spoglądając przyjaźnie na nieznajomego wędrowca.

— Nazywam się Jan Sachs; **) jestem szewc z zawodu a poeta z zamiłowania. Nauczyłem się rzemiosła jak przystoi a w sztuce minnesingerów uczynilem też nielada postępy.

— I teraz puściłeś się na wędrowkę? — ciekawie pytał Krempel.

— Tak jest panie — odrzekł Sachs — pierwsza to moja podróż, lecz w Bogu mam nadzieję, że nie ostatnia.

— Bardzo potrzebnie! — wtrącił z oburzeniem gospodarz — takie włóczęgostwo nikomu pożytku nie przyniesie. Lepiej byłoby, aby młodzi siedzieli w domu.

— Nasze cechy inaczej zapatrują się na to — rzekł Sachs. — Kto chce zostać majstrem, musi przedtem odbyć wędrowkę, poznać innych ludzi i inne obyczaje, a następnie zastosować w swoim mieście to, czego się od obcych nauczył.

— Słusznie, bardzo słusznie — zauważył Cranach — ale — dodał zwracając się do Fryderyka — nie dokończyłeś twego opowiadania, którego wszyscy z zajęciem czekamy.

— Bawiąc w Rzymie — podjął Klein — bywałem często w pracowni Rafaela, ***) tego księcia malarzy, jak



SPADOCHRON.

*) Vischer (u. 1455. zm. 1529.) znakomity artysta odlewnik. Najwytworniejszym jego dziełem jest grobowiec św. Sebaldy w kościele tegoż świętego w Norymberdze, Albert Dürer słynny ówczesny malarz niemiecki.

**) Jan Sachs słynny ówczesny szewc — poeta.

***) Rafael Sanzio z Urbino (ur. 1483. zm. 1520.) wielki malarz. Do najsłynniejszych jego obrazów należą znajdujące się w galerii drezdeńskiej Najświętsza Panna z Dzieciątkiem Jezus zwana „madonną syktyńską” oraz „Przemienienie Pańskie” w Watykanie.

go wszyscy nazywają. Widziałem jakie cudowne postacie powstawały na płótnie pod dotknięciem mistrzowskiego jego pędzla. Najwięcej zachwyciła mnie jego *Madonna della Sedia*: Matka Boska, postać czarująco piękna, siedzi trzymając na kolanach Dzieciątka Jezus, któremu św. Jan podaje krzyżyk do zabawki.

— Bodaj ich...! — zaklął gospodarz, który nagle rzucał łyżkę na stół i podbiegł do okna.

— Co wam się stało? — z przestraczeniem zapytał Krempel.

— Nic złego — odrzekł pan Tomasz, ochłoniawszy już trochę z pierwszego wrażenia — zobaczyłem tylko, że jakiś powóz...

— Zatrzymał się przed oberżą „*Pod Kogutem*” — z uśmiechem dokończył Klein. — Widzę, żeście się nie zmienili, panie Tomaszu, i że zawsze zazdrościcie waszemu współzawodnikowi.

— Niczego mu nie zazdroścę — z gniewem zawołał pan Tomasz — żał mi tylko biednych podróżnych, którzy zajeżdżają „*Pod Koguta*” nie wiedząc, że tam nie znajdują ani wygodnego noclegu, ani smacznego jedzenia.

— A więc to miłość bliźniego przez was przemawia — szyderczo wtrącił Sachs.

— Cicho bądź, młokosie! — srożył się Haberman — albo ty rozumiesz czym jest miłość własna porządnego oberżysty!... Czy wiecie panowie — dodał, zwracając się do swych gości — „*Złoty Kogut*” musi kiedyś ustąpić miejsca mojej oberży, albo się z nią połączy.

— A to w jaki sposób? — niedowierzająco spytał Krempel.

— Tego wam wytłómaczyć nie mogę — odrzekł Haberman przyciszonym głosem. Niedawno przepowiedziała mi to jedna cyganka i kazała dochować tajemnicy, dopóki Hubert nie wyrośnie.

— Ach! dajmyż pokój wszystkim oberżom i cygankom, a wróćmy do opowiadania o Rafaelu, o naszym mistrzu, przed którym wszyscy schylamy czoła! — z zapalem zawołał Cranach.

— Jeżeli chcecie — ozwał się Fryderyk — opiszę wam inny obraz, który wprawdzie nie jest jeszcze wykończonym, ale który z pewnością będzie arcydziełem.

— Cóż to takiego? — z zajęciem spytał Cranach.

— Madonna, którą mistrz przeznaczył do kaplicy Sykstyńskiej.

— Czy widziałeś obraz rozpoczęty? — zapytał Cranach.

— Tak. Mistrz sam mi go pokazywał: Bogarodzica spływa z niebios z Dzieciątkiem na ręku, twarz jej ma wyraz niewinności niebiańskiej, w oczach Dzieciątka jaśnieje niby odbłask mądrości Bożej.

— Dałby Bóg, aby praca ta przyniosła nową sławę Rafaelowi! — zawołał Henryk.

— Dałby Bóg! — powtórzył Fryderyk. — Ojciec Święty wyraził życzenie, aby obraz ten został umieszczony w kaplicy Sykstyńskiej w pałacu Watykańskim.

— Musiałeś też być pewnie w pracowni Michała Anioła *), opowiedzcie nam co o nim — nalegał Cranach.

— I owszem — mówił nieznużony Fryderyk. — Ciekawicie zapewne poznać powierzchowność tego mistrza. Twarz jego nie jest piękną, ale wieje z niej technienie geniuszu. W wielkich, rozumnych jego oczach przebiega się umysł niepospolity, pozwalający mu pracować na tak różnorodnych polach. Buonarrotti jest równie znakomitym rzeźbiarzem jak malarzem, ręka ta która tak mistrzowsko włada pędzlem, umie też wykładać z marmuru drgające życiem postacie.

— Wielki, niepospolity człowiek! — z zachwytem wykrzyknął Cranach.

— O tak! niepospolity to człowiek! — potwierdził Fry-

deryk — to też z prawdziwą czcią zbliżałem się do tego twórcy tyłu arcydzieł.

— Jak to miło widzieć tyle zapалу w młodym człowieku! — rzekł znów Cranach do Fryderyka.

— To głupota a nie zapal — wtrącił zgryźliwy gospodarz, ale Cranach nie zwracając na niego uwagi pytał dalej:

— A czy nie byłeś w Bazylei i nie poznałeś tam młodego Holbeina? *)

— I owszem — odrzekł Fryderyk — wracając do domu zaszedłem do tego miasta i miałem sposobność poznać tam Holbeina. Młody to jeszcze artysta, ale, o ile śmiem sądzić z pierwszych jego prób, zdaje mi się, że i on zasłynie w świecie.

(d. c. n.)

SPADOCHRON.

Zwykle spadochrony, robione z bibuły i korka, mają tę niedogodność, że trzeba je koniecznie zrzucić z wysokości, żeby się rozwinęły. Skłoniło to pewnego Francuza do zbudowania tego rodzaju przyrządu, któryby można wyrzucać w górę.

Wyobraźcie sobie parasol, w którym fiszbin został zastąpiony nitkami; te ostatnie są połączone z ruchomym pierścieniem, który ślizga się wzdłuż długiego pręcika drewnianego, do szczytu pręcika przytwierdza się środek spadochronu, drugi zaś koniec kijka kończy się małym kościanym guzikiem, zaopatrzonym w szparę, o której przeznaczeniu zaraz powiem.

Zwinięty spadochron wkłada się do kartonowego cylindra, do końca którego przymocowano mocną sprężynę kauczukową tak, iż ta zamyka jego otwór.

Chcąc wyrzucić przyrząd, postępujemy jak przy strzelaniu z łuku: strzałą jest tu pręt spadochronu, cięciwą zaś — sprężyna kauczukowa, do której przykładamy kościany guzik ze szparą. W ten sposób spadochron daje się wyrzucić do wysokości 4 do 5 metrów.

Ciężar pręta zapewnia tu równowagę w powietrzu pierścionej zaś napręża nitki.

Zwracając spód spadochronu w kierunku wiatru można otrzymać daleko znaczniejsze wzniesienie. My np. korzystając z dość silnego prądu powietrza, biegnącego ku górze, wypuściliśmy spadochron, który dosięgnął piątego piętra.

Można z takimi przyrządami urządzać konkursy. Wyrzucamy na dany znak kilkanaście spadochronów naraz i dajemy nagrodę właścicielowi tego, który spadł na ziemię ostatni.

Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

Ktoś więc wchodził tutaj, podczas gdy Franciszek spoczywał, snem kamiennym ujęty? Wiedzano więc, że się, w podziemiach zamkowych znajduje? Znajdował się w mocy barona Rudolfa na Gorcu... czy skazany zostanie na zupełne od ludzi odosobnienie?

Niepodobna było to przypuszczać... może z resztą nieć stąd jeszcze... Trafi do galerii prowadzącej do furtki i przez nią wydostanie się z zamczyska.

*) Słynny malarz niemiecki.

*) Michał Anioł Buonarrotti był jednym z największych mistrzów sztuki plastycznej chrześcijańskiej. Arcydziełem jego jest obraz Sądu Ostatecznego na ołtarzowej ścianie kaplicy sykstyńskiej. Zasłynął także jako budowniczy, rzeźbiarz i poeta.

Wydostanie się? Przypomniat sobie, że wszedłszy, usłyszał zatraskującą się furtkę.

Ha! to będzie starał się dostać do muru obwodowego, są w nim strzelnice... jedną z nich wysunąć się potrafi... Bądź co bądź, przed godziną z zamczyska ująć musi.

Ale w takim razie, co się stanie ze Stillą?

Nie! nie zostawi jej tutaj. Czego sam nie dokazał, tego dokaże przy pomocy policyi, którą Rocko z Karlsburga sprowadzić powinien do Werstu... Szturmem zdobędą starą twierdzę... od szczytu do podziemi przetrząsną całe zamczysko!

Raz powziąwszy postanowienie, należało je wykonać nie tracąc czasu

Zrobił więc Franciszek kilka kroków w stronę korytarza, którym tu przybył, gdy w tem za drugimi drzwiami krypty posłyszał leciutki szmer jakiś.

Niewątpliwie był to odgłos kroków powoli się zbliżających.

Franciszek przyłożył ucho do drzwi i oddech powstrzymując, słuchał...

Słychać było kroki regularnie stąpające, jakby ktoś wchodził z jednego stopnia schodów na drugi. Bezwątpienia znajdowały się tam drugie schody, łączące kryptę z podwórcami wewnątrz.

Aby na wszelki wypadek być gotowym, Franciszek wydobyl z pochwy nóż, za pasem zatknął i rękojeść jego silnie ujął.

Jeżeli to wejdzie ktoś ze służby barona, młodzieniec rzuci się na niego, wyrwie mu klucze, obali na ziemię i czyniwszy go nieszkodliwym dla siebie, tem wyjdzie z krypty się wyrwawszy, postara się trafić do baszty.

Jeżeli to będzie sam baron Rudolf na Gorcu, a pozna go Franciszek niezawodnie — wtedy obejdzie się z nim bez miłosierdzia...

Kroki zatrzymały się przed progiem. Franciszek, czekał nieruchomo, aż się drzwi wreszcie otworzą. Nie otworzyły się jednak, tylko głos niewymownie słodki doszedł uszu młodzieńca.

Był to głos Stilli! tak, jej głos, bez wątpienia... trochę może przytłumiony, słabszy, ale... ten sam cudownie brzmiące narzędzie talentu, który posiadała zmarła artystka...

Głos ten powtarzał rzewną melodią, którą przez sen słyszał Franciszek, gdy drzemał w wielkiej izbie gospody *Pod królem Matyaszem*:

„Nel giardino de mille fiori”
„Andiamo... andiamo...”

(Do ogrodu, gdzie kwiatów tysiące, pójdźmy, pójdźmy...)

Śpiew ten przejmował Franciszka do głębi duszy. Zdawało mu się, że nieszczęśliwa Stilla iść mu każe za sobą, powtarzając: „Andiamo! andiamo!”

A przecież nie otwierały się drzwi, żeby go na wolność wypuścić! Rzucił się ku nim... oparły się usiłowaniu jego...

A tymczasem śpiew dochodził go coraz słabszy... cichł... rozplątywał się... oddalały się kroki!

Franciszek klęcząc przy drzwiach, starał się wyważyć je z zawias, ręce sobie kalczył żelaznym okuciem, wołał, krzyczał... ale głos nie dawał się już słyszeć...

Strasliwa myśl przemknęła mu przez głowę... Zamknięta, uwięziona, Stilla dostała może pomieszania zmysłów?

— Nie! nie! — powtarzał, biegając tam i napowrót w krypcie, jak dziki zwierzę w klatce. — Nie! gdybym temu uwierzył, straciłbym przytomność. A tracić jej nie mogę... muszę stąd wyjść... Wyjdę!

Poskoczył ku drzwiom pierwszym...

Zamknęły się przed chwilą bez hałasu, a on tego nawet nie zauważył, zasluchany w głos Stilli.

Uwięziony już w obrębie zamku, został teraz uwięzionym w ciasnym wnętrzu podziemnej krypty!

XIV.

Franciszek czuł, że zaczyna mu się męczyć w głowie, że traci władzę zastanawiania się nad wypadkami i wyprowadzania z nich następstw. Jedna tylko myśl, jedno uczucie trwało w nim stale: wrażenie wywołane śpiewem, którego echem przestały już rozbrzmiewać sklepienia podziemia.

Był-że igraszką złudzenia? Nie, po tysiąc razy nie! Przysiadł mógł na to, że słyszał głos Stilli przed chwilą, że wczoraj ją samą widział na baszcie. Ale jednocześnie coraz się w nim wzmagała i coraz gorzej dręczyła go obawa, że nieszczęśliwa artystka dostała pomieszania zmysłów, a on w obec takiego nieszczęścia bezsilny, nie może z pomocą jej pośpieszyć!

Czuł jednak, że musi odzyskać zimną krew, musi zastanowić się nad położeniem i opanowawszy zamęt myśli, rozważać zaczął, co mu uczynić należy.

— Uciec stąd muszę... — myślał. — Ale jak? kiedy? Wtedy chyba, gdy się te drzwi otworzą? Tak! Podczas snu mego przynosi mi tu ktoś żywność... A zatem udam, że śpię i czekać będę...

I nagle na myśl mu przyszło, że napój znajdujący się w dzbanie zawierać musiał jakiś środek usypiający... Tak! niezawodnie!... Jeżeli pogrążony był w tym ciężkim kamienym śnie, który go przez tyle godzin obezwładniał, to dlatego, że wody tej się napił...

A zatem pić już nie będzie! Nie dotknie nawet jedzenia postawionego na stole... Ktoś z ludzi zamkowych wejdzie tu zapewne niezadługo... Niezadługo? Skąd on to wiedzieć może? Nie wie nawet w tej chwili, czy słońce wschodzi, czy też ku zachodowi się kłoni? Czy noc, czy dzień panuje? Zegarka nie miał przy sobie a do podziemia światło dzienne nie dochodziło wcale...

Chcąc zmiarkować co się dzieje na świecie, natężył Franciszek słuch... myślał, że może z za jednych lub z za drugich drzwi dojdzie go odgłos, szmer jakiś... Cisza jednak panowała nieprzerwana, cisza, od której gorzej jeszcze męciło mu się w głowie.

Z błędnem okiem, z szumem w uszach, z płonącym gorączką czołem, pełzał nieszczęśliwy młodzieniec po podścianach swego więzienia, którego powietrze nieodświeżane przyprawiało go o zawrót głowy.

Wtem uczuł, że z pod jednego ze stojących po prawej stronie filarów, powiał na niego prąd świeżego powietrza.

Musiał więc być w tem miejscu otwór, przez który dochodziło powietrze, wyjście może jakieś?

Tak! U podnóża filaru znajdowało się tam przejście, którego istnienia nie domyślał się nawet Franciszek. W jednej wszakże chwili wsunął się w ciasny otwór i pełzać począł w stronę, skąd blada jakaś jasność zdawała się spadać z góry. Przejście to wychodziło na malutkie podwórko, parę stóp kwadratowych mające, zewsząd otoczone murami, wysokiemi na jakie sto stóp. Podobne ono było raczej do dna studni, pozbawionej wody, i udzielającej podziemiu odrobiny powietrza i światła.

Wzrok w górę podniósłszy, mógł się przekonać Franciszek, że dzień ma się już ku schyłkowi, a po świetlanym promieniu, coraz to ukośniej ślizgającym się po górnej ścianie owej studni, poznał, że piąta już być musi. Wyprowadził więc stąd wniosek, że sen jego trwać musiał z jakie czterdzieści godzin, i nie wątpił, że wywołany został sztucznie.

Młody hrabia i Rocko opuścili wioskę Werst 11 czerwca, dziś zatem miał się już ku końcowi dzień 13 czerwca!

Chociaż powietrze napełniające podwórko wilgotne było i pleśnią przejęte, Franciszek odetchnąwszy niem kilka razy pełną piersią, uczuł jednak niejaka ulgę. Jeżeli jednak błysnęła mu jaka nadzieja ucieczki, to niebawem się przekonał, że nadzieja to zwodnicza, bo na kilka pięter wysokie, gładziuteńkie ściany nie pozwalały przypuszczać możliwości wydrapania się po nich do góry.

Powrócił więc hrabia Franciszek do swego podziemia,

Skoro nie mógł uciec stąd inaczej, jak przez drzwi jedne lub drugie, chciał więc przekonać się, w jakim się stanie znajdując.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

„Przyjaciel zwierząt” podaje ciekawe szczegóły o wędrownikach małych ptaszków w dalekie kraje na grzbietach wielkich ptaków, żorawi, bocianów a nawet i dzikich gęsi. O ile nad siły drobnych ptasząt byłoby przenosić się do dalekich ciepłych krajów, radzą sobie one w ten sposób. Oto co opowiada obecnie korespondent jednego z amerykańskich dzienników. W jesieni r. 1889 przepędzałem kilka tygodni na wyspie Krecie. Przy kilku sposobnościach, pleban wiejski w miejscu mego pobytu, z którym zawiązałem bliższy stosunek, zwrócił moją uwagę na wyraźnie dochodzący z powietrza świegot małych, różnych ptasząt w chwilach, kiedy przeciągało nad naszymi głowami dążące na południe stado żorawi. Nigdy jednak małych ptaszków nie mogłem dostrzedz nad sobą i pewny byłem, że dochodzący nas świegot był tylko szelestem skrzydeł żorawi. Pleban przeciwnie nie dawał się zachwiać w przekonaniu, że jest to rzeczywiście gwar ptasząt, i zapewniał mnie, że mali ci wędrowcy siedzą sobie wygodnie na grzbiecie żorawi i że nawet widział na własne oczy, jak to maleństwo po spuszczeniu się tych ostatnich na ziemię, zlatowało z nich, żerowało razem z żorawiami, i gdy nadeszła chwila odlotu, wskakiwało znowu na grzbiety tychże.

Pewnego dnia bawiliśmy się razem wędką na morzu, w odległości około 24 kilometrów od wybrzeża, gdy nagle cały klucz żorawi przeciągnął tuż nad nami. Pierwsi rybacy usłyszeli znowu świegotanie i zwrócili naszą uwagę na nie. Jeden z nich zawołał nawet:

— Oto ptaszki!

Lecz ja nie mogłem ich w żaden sposób dostrzedz. Wtedy strzelił ktoś wiatr i po strzale porwały się rzeczywiście z nad stada żorawi, trzy małe ptaszki, które podleciawszy na chwilę w górę, znikły później znowu pomiędzy żorawiami.

Nasza zięba jest w zimie bardzo pospolitym gościem w Egipcie; beduini tamtejsi święcie są o tem przekonani, iż bociany „przewożą” tego ptaka przez morze.

Na wyspie Rhodos podczas przelotu bocianów, słysząc często w powietrzu śpiew drobnych ptaszków, których jednak nikt nigdy nie widzi. Pewien podróżnik szwedzki zapewnia, iż jednego razu śledził przelatujące z wiosną bociany, dopóki nie spuściły się na ziemię, a gdy usiadły na łące, widział mnóstwo drobiazgu ptasiego, porywającego się z ich grzbietów. Nie mógł się jednak zbliżyć tak, aby rozpoznać, jakie to były ptaki.

Świeżo znów donosi jeden z dzienników amerykańskich, że dzikie gęsi, zwane kanadyjskimi, wyświadczają te same usługi drobnym ptaszkom amerykańskim, co żoraw i bocian europejski. Myśliwi, mianowicie z nad zatoki Hudsonskiej

zapewniają, iż zwłaszcza jeden rodzaj zięby regularnie przelatuje na grzbiecie dzikiej gęsi z wiosną i z samym „wierzchowcem” oddala się w jesieni.

SZARADA.

Ojczyznę dzieli z Arabów plemieniem,
Dziś już świat cały zna ją i używa;
Dla wielu jest też miłem napojeniem
Jasną lub ciemną jej postać też bywa.
To *dwie* me *pierwsze*; *druga* z *trzecią* społem
Do wyrabiania potraw Włochów służy,
Znajdziesz go wszędzie za kuchennym stołem,
Lecz niech cię *wszystko* zbytecznie nie nuży,
Bo jest on drobny licznie spotykany
Wielka się z niego całość składa nieraz
Biedak go weźmie gdy mu z sercem dany;
No czemuż jestem? Powiedzże mi teraz.

ZADANIE KONIKOWE.

w zie	mi	pas	w tem	ply	się	plug	we
o	a	nie	śląd	cza	so	ko	za
czne	mi	gdy	jak	dłu	tak	tak	łem
niół	gni	gi	pa	łem	tę	nim	lek
w gó	wdzieć	chło	sty	a	mi	czo	kiem
sty	pro	gle	łza	da	z o	ci	świe
się	rę	ni	pek	zle	ta	I	je
mie	na	wa	wzła	dą	bi	ci.	le

ROZWIĄZANIA DO N-ru 39-go

Szarady: U — pas.

Łamigłówki sylabowej:

1. Kambizes. 2. Rakoczy. 3. Zwingli. 4. Yarkand. 5. Stwosz. 6. Zoroaster. 7. Trafalgar. 8. Ovando. 9. Floryda. 10. Korteż. 11. Ovidius. 12. Laokoon. 13. Urania. 14. Montezuma. 15. Balboa.

Krzysztof Kolumb.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Do ziemi nieznanej p. Halię Tokarzewską (z drzew.) — Żniwiarze, wiersz p. K. P. — List z Warszawy (z drzew.) — Sztuka czy rzemiosło, z niemieckiego. — Spadochron (z drzew.) — Tajemniczy zamek. — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek:** Kazio i Janinka p. A. (z drzew.) — Kokoszka, wiersz. — Rozmowa z wujaszkiem. — Przygody Iskierki, Perelki i Brylancika. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** W krainie Gwebrow, Andrzeja Laurie, przekład T. P.

WIECZORY RODZINNE.



KAZIO I JANINKA.

Mama musiała iść śpiesznie do biednej kobiety na wieś, która nagle zasłabła, zostawiła więc Kazia i Janinkę wśród rozpoczętej lekcji, polecając im, aby zanim wróci zachowali się spokojnie. Kazio miał nadto podczas nieobecności mamy zrobić na widelkach kawałek sznurka, którego się niedawno robić nauczył, Janince zaś wyznaczyła również kawałek podwiązki.

Gdy powrócę, rzekła mama, dostaniecie po jednym z tych dużych pięknych, czerwonych jabłek, które leżą w moim pokoju na kominku.

— Dobrze, dobrze mamusiu—zawołały dzieci—ale wpierw jeszcze przejdziemy się po ogrodzie

— Możecie nawet wziąć z sobą wasze roboty — rzekła mama wychodząc i usiąść pod kasztanem.

Janinka wzięła na głowę kapelusik równie jak Kazio i oboje z robotą w koszyczku pobiegli wesoło do ogrodu. Mnóstwo tam było kwiatów, fruwały różnokolorowe motylki, dzieci więc ubiegały się za nimi, zapominając o wyznaczonej robocie, Kazio pierwszy zawołał po chwili:

— A robota którą nam wyznaczyła mama? Kiedy ją zrobimy?

— Mamy dość czasu! Pobiegajmy trochę!—odparła Janinka.

— Ja wolę zrobić wpierw co przyrzekłem — rzekł Kazio — a potem się bawić, i wyjąwszy zaczęty sznurek z koszyczka usiadł na ławeczce i począł pilnie odrabiać swoje zadanie.

Skończył je wkrótce, bo mama nie wiele wymagała od dzieci, chodziło jej tylko o to, aby choć chwilę były zajęte.

Janinka tymczasem uganiała się za konikami polnemi i gdy upadła zmęczona na ławeczkę a Kazio znów się bawić zaczął, ukazała się we drzwiach od pokoju mama, przywołując dzieci aby pokazały roboty.

Janinka zawstydzona bardzo, musiała się jednak przyznać, że nic nie zrobiła.

— Przykro mi bardzo, córeczko — rzekła mama — że nie dotrzymałaś obietnicy, i nie zajęłaś się choć na chwilę robotą, mam nadzieję, że się poprawisz, lecz nie mogę ci dać jabłuszka i oba weźmie Kazio.

Janinka zawstydzona odeszła. Ale Kazio dobrze miał serduszko i kochał siostrzyczkę, pośpieszył więc za

nią wkrótce i gdy stała zawstydzona wsparłszy się o drzewo, wyskoczył z za krzaków i schowawszy obie ręce poza siebie zawołał:

— Którą z moich rąk chcesz uścisnąć, wybieraj!

Janinka mimowolnie chwyciła za lewą i znalazła w niej śliczne, czerwone jabłuszko.

Nie potrzebujemy dodawać, że byłaby znalazła też samo i w prawej, bo dobry braciszek postanowił podzielić się z nią otrzymaną nagrodą.

A.

KOKOSZKA.

Uciekajcie czempredzej, drogie moje działki!
Nie traćcie ani chwili, usłuchajcie matki!
Patrząc w niebo uważnie, jastrzębia ujrzyście
To wróg, który na wasze młode czyha życie.
Uciekajcie pod szopę, szukajcie ochrony,
Zanim jastrząb drapieżny porwie was w swe szpony.

Szczęściem, kurczątko poszły za matki przestrogą.
Schroniwszy się pod szopę, bezpieczne być mogą!..

ROZMOWA Z WUJASZKIEM.

V.

Siedząc na łące gdy słońce chyliło się ku zachodowi, Kazio i Miecio przypatrywali się jak mały pastuszek nie mógł sobie dać rady z dużym stadem gęsi, szczypiących trawę w pobliżu niwy zasianej zbożem. Co im zabiegł drogę z jednej strony, to one przelatywały na drugą, chcąc koniecznie dopaść zboża, gdzieby znalazły obfite pożywienie.

— A nie dajże im iść w szkodę — wołał z daleka Kazio — zabiegnij im drogę z tej strony.

— Ale gdzież tam — wołał Miecio — stań po tamtej stronie.

Pastuszek nie wiele rozumiał z dawanych mu przestrog i byłby niezawodnie nie dał sobie rady, gdyby nie to, że nadbiegł brat jego pasący w pobliżu drugie stado, i zaraz mu zagnać gęsi pomógł.

— To co zaszło przed chwilą — rzekł wujaszek — przypomina mi powiastkę, którą gdzieś słyszałem, powtórzę ją wam jeżeli chcecie.

— Prosimy, prosimy — wołali chłopcy.

— Otóż zdarzyło się raz na wiosnę, że bystry górski strumień utorował sobie nową drogę przez pole i groził zalewem całej wiosce. Przechodził właśnie tamtędy jakiś podróżny, który stanąwszy na wzgórzu, zaczął przemawiać do wzburzonej wody, przedstawiając jej, aby szkód nie czyniła biednym ludziom i odwróciła swe koryto. Ma się rozumieć, że słowa jego dźwięczały w powietrzu, a woda huczała jak przedtem zrywając tamę, która ją jeszcze nieco powstrzymywała.

Nagle mówca uczuł, że go ktoś pochwycił za ramię. Odwrócił się i spostrzegł wieśniaka, który patrząc na niego z uśmiechem, wyrzekł:

— Przyjacielu, słowa twoje są złote, i dobrze byłoby, gdyby ich strumień posłuchał, ale ponieważ to jest niepodobnem, więc jeżeli chcesz zapobiedz szkodom i przynieść pomoc biednym ludziom, weź lepiej ten rydel i pomóż mi naprawić tamę. Mowa nie na wiele się przyda, tam gdzie pracy potrzeba.

— Ach, wujaszku — zawołał Kazio — wstydę się doprawdy, że zamiast rozprawiać co mam robić, nie pomogłem temu biednemu chłopcu zagnać gęsi.

— I mnie także wstyd mego lenistwa — rzekł Miecio. Wujaszek się uśmiechnął i nic już nie powiedział wiedząc, że zrozumianym został.

Przygody Iskierki, Perełki i Brylancika.

(Dalszy ciąg).

— Spieszyłem się bardzo — rzekł do Zosi — bo ojciec nie pozwolił mi odchodzić od ciebie.

Zosia przerażona nagle zniknięciem brata, uspokoiła się teraz.

— Bardzo się cieszę, że przeprosiłeś tę dobrą panią — powiedziała Jakóbkowi.

III.

NA BAZARZE.

Upał w namiocie stawał się coraz większy; dzieci były zmęczone siedzeniem na jednym miejscu; kociętom także znudziło się leżeć w koszyku i zaczęły miauczeć, jak gdyby wołały matki.

Dużo osób stawało przed stolikiem i przyglądało się kociętom, ale nikt nie wyjawiał zamiaru kupienia ich a dzieci nie śmiały nikogo zachęcać.

W pół godziny potem ojciec powrócił.

— Jakże wam się udało? — zapytał. — Boję się, czy nie jest wam za gorąco w namiocie i dlatego wróciłem po Zosię, aby poszła ze mną obejrzeć śliczne lalki. Jakto, nie sprzedaliście dotychczas ani jednego okotka? — dodał rzuciwszy okiem na koszyczek.

— I owszem! i owszem! — razem zawołały dzieci — sprzedaliśmy Iskierkę. Kupiła ją jakaś pani, która przyrzekła być dla niej bardzo dobrą. Pokażę tatusiowi pieniądze — powiedział Jakóbek, wyjmując portmonetkę z kieszeni.

— W takim razie, trzebaby zawiesić Iskierce na szyi kartkę z napisem: „Sprzedana” — rzekł ojciec, wyjął z pugilaresu bilet, napisał na nim ołówkiem i oddał kartkę Jakóbkowi.

Od powrotu ojca czas prędzej dzieciom upływał. Ale nikt nie kupował kociąt, a ojciec obawiając się aby upał nie zaszkodził Zosi, zabrał ją z sobą. Jakóbkowi prawie na płacz się zbierało, gdy pomyślał, że musi zostać sam w namiocie.

— Ja wrócę niedługo, Jakóbkowi — pocieszała go siostrzyczka.

W kilkanaście minut potem podeszła do namiotu jakaś dziewczynka, może o rok albo o dwa lata starsza

od Jakóbka i poprosiła go, aby jej pokazał kocięta. Chłopczyk powiedział natychmiast, że Iskierka jest już sprzedana, że pozostałe kocięta, które się nazywają Perełka i Brylancik są bardzo wesołemi i dowcipnemi zwierzątkami.

— Niech panienka kupi które z nich — namawiał Jakóbek. — Zdaje mi się, że panienka obchodziła by się z niem dobrze, a my oboje z Zosią chcemy, żeby nasze kotki były szczęśliwe.

— Gdybym miała własnego kotka, z pewnością bawiłabym się z nim ciągle i pamiętałabym o jego potrzebach — odpowiedziała dziewczynka. — Nie wiem tylko, czy mama nie gniewałaby się o to. Mam nawet pół rubla, ale tylu mi jeszcze rzeczy potrzeba.

— Niech się panienka rozmyśli i kupi — namawiał Jakóbek.

— Cóż chcesz zrobić z temi kotkami, Helenko? — odezwał się nagle jakiś pan, stojący koło namiotu.

— Wujaszku! — zawołała Helenka — chciałabym bardzo kupić kotka. Niech wujaszek pójdzie do mamy i zapyta czy mama pozwoli. Zapłacę za niego chętnie pół rubla, choć miałam kupić jeszcze tyle rzeczy.

— Naprawdę? — z uśmiechem zapytał wujaszek. — No, poszukawszy dobrze w kieszeni, możebym znalazł jeszcze dla ciebie pół rubla.

— Dziękuję ci! Dziękuję, wujaszku Henryku! — wołała Helenka klaszcząc w ręce z radości.

W tej chwili nadeszła matka Helenki, a dowiedziawszy się o co chodzi, pozwoliła dziewczynce kupić kotka.

— Nie namyślaj się tylko długo, Helenko, bo musimy już wracać do domu. Wybierz tego kotka, który ci się więcej podoba i zaniemiemy go w tym koszyku.

Po chwili namysłu Helenka wybrała Perełkę i położyła na stole pół rubla.

— Ale Zosia się nie pożegna z Perełką — smutnym głosem powiedział Jakóbek.

— Któż to jest Zosia? — zapytał ów pan, którego Helenka nazywała wujaszkiem Henrykiem

— Zosia jest moją siostrą — odpowiedział Jakóbek — ojciec zabrał ją z namiotu aby przeszła się trochę i zobaczyła lalki! O! widzę ich! widzę! — zawołał. — Wracają już, ale są jeszcze bardzo daleko.

— Gdzie? — zapytał wujaszek Helenki.

— O tam!... w tamtej alei... ta dziewczynka była ubrana, którą niesie na rękach ten pan w słomianym kapeluszu.

— Czy to twój ojciec?

— Tak, proszę pana.

— Poczekajcie na mnie chwilkę — rzekł wujaszek Henryk, który poznawszy swego znajomego w ojcu Jakóbka, chciał pójść na jego spotkanie.

Po chwili obaj panowie i Zosia wrócili do namiotu.

— Sprzedaliśmy Perełkę — z tryumfem zawołał Jakóbek. — Chodź, pożegnaj się z nią, Zosieczko, a potem włożymy ją do koszyka. Ta panienka kupiła Perełkę i przyrzekła mi, że będzie o nią dbała. Czekaliśmy tylko na ciebie abyś mogła się z nią pożegnać.

Zosia wzięła Perełkę na ręce i całowała ją ze łzami

w oczach, najlepiej bowiem lubiła tę białą kotkę, tak podobną do pocziwej Milutki. Starła się jednak powstrzymać łzy z obawy, aby starsi nie śmiali się z niej.

— Nie smuć się, Zosiu — szepnął Jakóbek, choć i jemu także było bardzo przykro — przecież oddawna już wiedzieliśmy, że kotki muszą być sprzedane.

— A może jabym kupił tego ostatniego kotka, — odezwał się nagle wujaszek Henryk. — Uważam, że wam bardzo przykro rozstawać się z temi zwierzątkami. Miałbym ochotę kupić to kocię i następnie ofiarować je panience — dodał zwracając się do Zosi.

— Mama nie pozwoliłaby nam trzymać tyle kotów w domu — z westchnieniem odpowiedziała Zosia — mamy już Milutkę. Dziękuję panu — dodała, szczerze wdzięczna wujaszce Helenki za jego propozycję.

— Ha! w takim razie kupię to kocię dla siebie.

— Naprawdę? — spytała Zosia nie wierząc własnym uszom. — Zdawało mi się, że panowie nie lubią kotów i że zwykle chowają psy.

— Pewnie pan chce go kupić dla swoich dzieci — wtrącił Jakóbek, który przez cały czas tej rozmowy rozmawiał z Helenką i słyszał tylko ostatnie wyrazy.

— Nie, mój chłopcze, nie mam dzieci, ale chciałbym kupić tego kota dla siebie. Mieszkam sam z dużym psem myśliwskim. Tak, mam u siebie psa — powtórzył spostrzegłszy żywy niepokój na twarzyczce Zosi. — Niech panienka się nie obawia; zaręczam, że mój pies będzie grzeczny i nie robi kotkowi nic złego. Za kilka tygodni będą z sobą żyły w najlepszej zgodzie. No, czy dostanę tego kotka?

Zosia patrzyła wciąż z niepokojem na tego pana, który mając w domu psa, chciał zabrać ostatniego jej pieszczołka. Czy Brylancikowi nic złego tam nie grozi? Wprawdzie Milutka żyła w przyjaźni z Neptunem, ale Neptun nie lubił innych kotów i nieraz gonił za niemi, chociaż Zosia bardzo się o to na niego gniewała. Cóż tu zrobić?

— Czekamy na ciebie, Henryku — rzekła wreszcie matka Helenki. — Jeżeli kupujesz kocię, daj mi je do koszyka, zmieszczą się tutaj oboje.

— Zgódźmy się, Zosiu — rzekł cicho Jakóbek — jestem pewien, że ten pan nie pozwoli krzywdzić Brylancika.

Zosia nie opierała się dłużej. Brylancik został umieszczony obok Perełki i matka Helenki zamknęła koszyk. Zdziwione nagłą ciemnością kocięta zaczęły miauczeć.

— Nie płacz-że Zosiu — rzekł Jakóbek, sam także ze smutną miną spoglądając na koszyk.

— Czegożbym miała płakać? — odparła Zosia z udaną obojętnością, a widząc, że Helenka zabiera koszyk z kociętami, raz jeszcze zwróciła się nieśmiało do jej wujaszka:

— Więc pan naprawdę będzie się opiekował Brylancikiem i nie zapomni o jego imieniu?

— Daję ci słowo, moje dziecko, że Brylancika nic złego u mnie nie spotka. Zrobimy mu obrózkę ze wstążeczki, na której Helenka wyhaftuje jego imię.

— Słyszysz, Zosiu — z radością zawołał Jakóbek —

ten pan dał słowo, a mężczyźni zawsze dotrzymują danego słowa.

— Masz słusność, mój chłopcze — odrzekł z uśmiechem wujaszek Helenki. — Pamiętajcie także dotrzymywać zawsze danych obietnic.

Gdy Helenka odeszła z matką i wujaszkiem, dzieci długo śledziły ich oczyma, poczem zajęły się osamotnioną Iskierką, która przywykła już do swego więzienia, usnęła spokojnie, nie troszcząc się zgoła jaki los ją czeka.

— Mam ochotę zabrać was z tego namiotu — rzekł teraz ojciec. — Poprosimy której z pań, aby zechciała podjąć się tymczasem opieki nad Iskierką, a sami przejdziemy się trochę po ogrodzie. Czy zgoda?

Dzieciom uśmiechała się bardzo myśl obejrzenia ślicznych rzeczy, wystawionych na sprzedaż w innych namiotach, miały także ochotę kupienia sobie jakich zabawek za pieniądze zaoszczędzone przez kilka tygodni, ale z drugiej strony nie mogły zdecydować się na to, aby zostawić Iskierkę w obcych rękach, zanim nowa właścicielka zgłosi się po nią.

— Poczekajmy jeszcze chwilkę, tatusiu — nieśmiało odezwał się Jakóbek — może ta pani nadejdzie.

— Ona miała kapelusz z żółtymi piórami — dodała Zosia. — Może tatuś ją dostrzeże; tatuś jest taki wysoki.

Biednej Zosi mały jej wzrost bardzo się dał dzisiaj we znaki: wstyd jej było, że ojciec niósł ją na rękach jak maleńkie dziecko, ale gdy szła sama, nie miała siły przecisnąć się przez tłum i niewiele mogła widzieć.

— Nie, moje dziecko — odrzekł ojciec — nie widzę nikogo w kapeluszu z żółtymi piórami. Zresztą poczekamy jeszcze dziesięć minut. Mówiliście, że ta pani przyrzekła powrócić o pierwszej, a teraz właśnie jest punkt pierwsza.

Z bijącym sercem Jakóbek i Zosia oczekiwali przybycia tej pani; coraz większy niepokój ich ogarniał; aż wreszcie podszedł do namiotu lokaj w liberyi. Trzymał on w rękach kilka paczek, między niemi mały koszyczek. Uchyliwszy kapelusza, lokaj powiedział Jakóbkowi, że został przysłany przez swoją panią po małą kotkę, która się nazywa Iskierka.

(d. c. n.)

HOMONIM.

E. M.

Lecę ptaszkiem, w naszym lesie każdy mnie zobaczy;
Lub wciąż pytam, bo nie mogę uczynić inaczej.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

1. Spółgłoska.
2. Owad z rzędu tęgopokrywych.
3. Ptak brodzący poszukiwany przez myśliwych.
4.
5. Ptak z rzędu zrosłopalcowych ozdobnie ubarwiony, zalatuje czasem do nas.
6. Pewna część sztuki granej w teatrze.
7. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwę ptaka dającego się u nas słyszeć całą wiosną, z rzędu dwuparzystopalcowych.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 39-go.

Szarady: Sztyl — kret.

Łamigłówka w trójkącie.

A m e r y k a
M e m f i s
E r l a u
R o c a
Y a p
K u
A

Skrzynka do listów.

Pani Karolinie D. Bez oczekiwania na przysyłkę prenumeraty możemy przesyłać nadal pismo. Musimy tylko odebrać wiadomość, że dawny prenumerator życzy sobie je otrzymywać.

Kochana Prawda, jedna z najwierniejszych, najmiłszych naszych staruszek, przysłała nam odpowiedź na zadanie konkursowe. Przyszło zapóźno, w przeddzień ogłoszenia drukiem sprawozdania, tutaj więc tylko zaznaczamy, że doszło rąk naszych. Nad wszystkie rodzaje pracy przekłada Prawda tę, która ma na celu zdobywanie wiedzy, trafia przytem czyniąc uwagę, że nauka „wydoskonala i rozum i serce.” Tak, bezwątpienia. Rozum odziaływać powinien na charakter, a jeżeli są ludzie, którym nauka wyziębła serce, to chłodne musiało być ono z natury i nie umiejącem bić silnie, albo też nauka, która skutek taki wywarła, jednostronnie pojęta, nie zastosowana właściwie, nie zbudziła do życia władz serdecznych. „Rządź się rozumem a odczuwaj sercem” jest mądrym i pocziwym programem życia; życzymy Prawdzie, aby nie zmieniła go nigdy.

P. Hip. Gliw. Żądane numeru posłano, należy się kop. 70.

Marynia Kl. nadesłała liścik i logogryf. Liścików do współczytelniczek, jak to już mówiliśmy wielokrotnie, nie umieszczamy obecnie z powodu, iż zajmowały zbyt wiele miejsca; logogryf, chociaż dobrze ułożony, nie nadaje się jednak do druku z powodu niewłaściwego wyboru wyrazów.

Kochana Cisko Wieczorna, nie mam ci nic do wybaczenia; im częściej do mnie pisujecie tem większą sprawiacie mi przyjemność. Rozwiązania są dobre, a za łamigłóvkę dziękuję ci serdecznie. Wszystkie — ście wy przenajpocziwsze, siostrzyczki; zawsze wam to powtarzam, martwi mnie tylko, gdy która zamiast po imieniu, uroczyście „panią” mnie tytułuje. Tak uczyniła Amazonka, wybaczam jej to jednak, bo mam nadzieję, że lepiej zapoznawszy się z nami, przekona się, że umiemy się poznać zarówno na przyjaźni jak i na żarcie. „Męczarni” twoich skrótów nie mogę, powiem tylko, że jestem zupełnie już dorosłą. Jeżeli ci „obco” w Warszawie, poszukaj lekarstwa w zajęciu, poznania dokładnie miasta, jego okolic, a polubiwszy je przestaniesz żałować New-Port'u i New-Yorku. Taką daję ci radę, prawdziwie siostrzanem uczuciem powodowana.

Gołąbka.